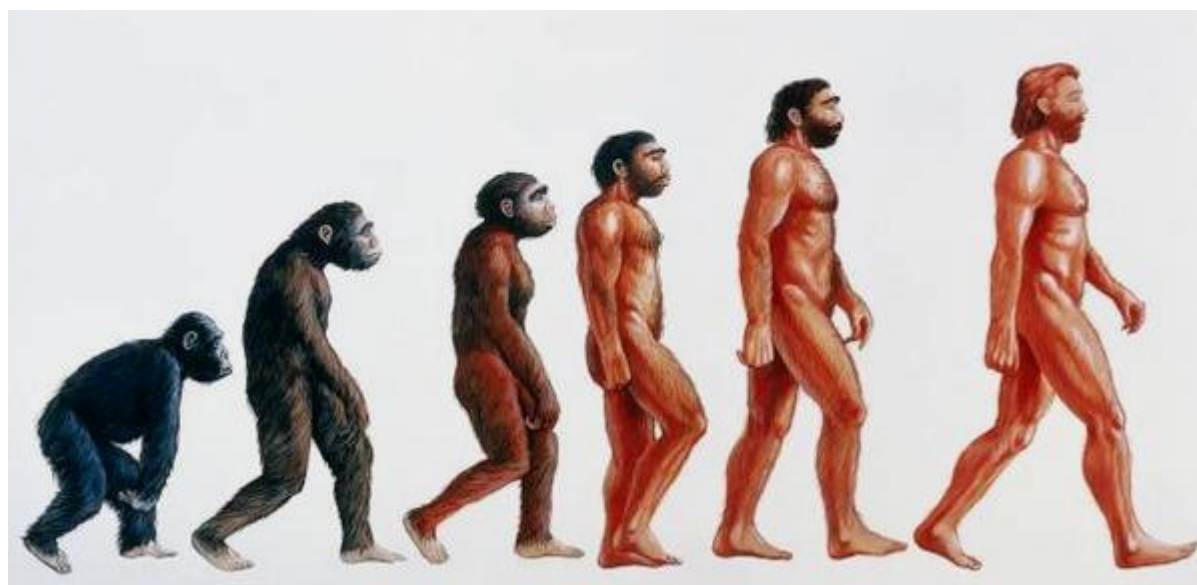


Wyzwolenie homo habilis – 1

5 sierpnia 2017

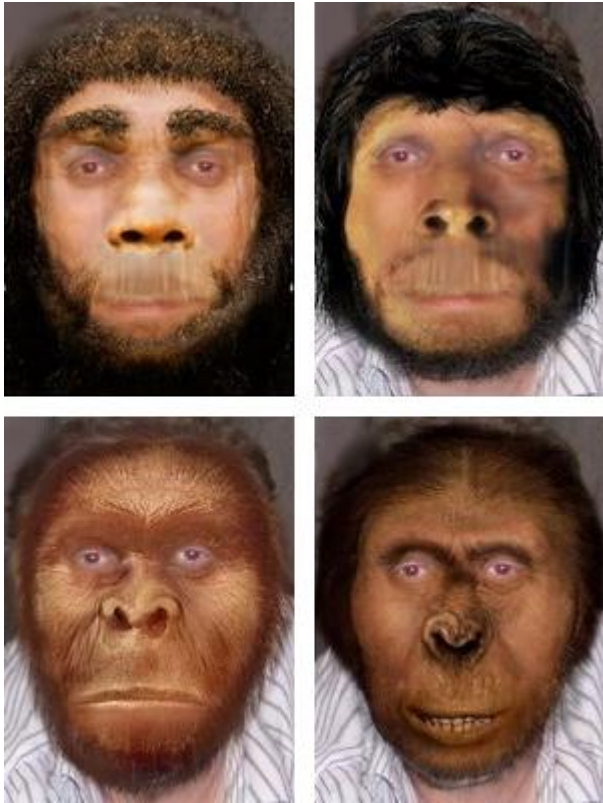
My, ludzie, możemy poczuć się naprawdę wyjątkowo. Spośród dziesiątek tysięcy gatunków zamieszkujących planetę Ziemię trudno znaleźć istoty równocześnie podobne nam wyglądem, sylwetką, zwyczajami i dążeniem. Choć nasze pokrewieństwo z innymi stworzeniami pozostaje niepodważalne i nierozwiązywalne to trudno zaprzeczyć twierdzeniu, że jesteśmy dziś ostatnimi przedstawicielami szerokiej niegdyś rodziny hominidów, które zamieszkiwały Ziemię, według współczesnej wiedzy, od tysięcy a dokładniej od milionów lat.



Po wielu tysiącach lat życia w genealogicznej samotności i poczuciu niepowtarzalności, ludzie, korzystając z poszerzonej aparatury poznawczej oraz coraz szerszych horyzontów myślowych, zaczęli odkrywać zakryte dotąd i nie jasne wątki własnej historii. To co wiemy o naszej wspólnej przeszłości na dzień dzisiejszy, to nieporównanie więcej niż analogiczna wiedza naszych przodków sprzed kilkuset lat. Wciąż jednak tkwimy w stanie owej dziecięcości, przecierając niezgrabnie ręką zakurzone pamiątki i wspomnienia, leżące u zarania dziejów naszych oraz Matki Ziemi.

Nigdy nie dowiemy się wszystkiego o prawdziwym obliczu lat minionych, nie doprowadzimy panoramy naszych losów do stanu zupełnej przejrzystości. Powoli jednak, drogą odkryć, badań i hipotez, znamy i rozumiemy coraz więcej. Z oparów sporu i sprzecznych założeń wyłania się niejednorodny zapis wspólnych dziejów, trajektoria życia i nadziei zakreślona w czasie oraz przestrzeni, wyryta w sercach i marzeniach naszych protoplastów i krewniaków.

Gdy piszę te słowa kalendarz oznajmia bliski koniec 2010 roku. My, homo sapiens od tysięcy lat pozostajemy ostatnimi ludzkimi rezydentami ziemskiego globu. Wiemy jednak, że nie było tak zawsze. Wiemy, że w całkiem niedalekiej przeszłości, ziemię zamieszkiwały inne gatunki hominidów. Żyły, marzyły, śniły, najpewniej tak jak i my sami. Po tysiącletniach niebytu w enigmatycznym zapomnieniu na nowo odkrywamy ich świat, nadając im nasze własne imiona. Dziś identyfikujemy ich pod nazwami: pharantropus, australopitek, homo habilis, homo ergaster, homo erectus, homo antecessor, homo hedelbergensis, pitekanthrop, neandertalczyk oraz wieloma innymi. Możemy bez cienia ryzyka powiedzieć, że wiele gatunków hominidów wciąż pozostaje nieznanymi i nie odkrytymi na nowo, my sami zaś ze strzępów wiedzy i nie domówień próbujemy stworzyć jedną logiczną całość, która udzieliłaby kompleksowej odpowiedzi na odwieczne pytanie o wspólne początki człowieka.



Debata na temat nieistniejących, wymarłych już dziś hominidów, nazbyt często zostaje zawłaszczona na rzecz misji poszukiwania brakującego ogniwa. Idąc tym tropem, kolejne gatunki hominidów przyporządkowuje się do drabiny ewolucji gatunku ludzkiego. Jedne z nich zostają namaszczone jako bezpośredni przodkowie człowieka współczesnego, pozostałe – o dziwo – skazuje się na etykietę ślepego zaułku, który zgodnie z obowiązującą doktryną miał ponieść porażkę ewolucyjną (!) i przepaść w odmętach prehistorii. Zapraszam was drodzy przyjaciele. Odejdźmy od tych tak wydeptanych już ścieżek i spójrzmy na hominidy nie jako na skostniałą pamiątkę wieków minionych lecz osobowy podmiot rzeczywistości, który przemawia do teraźniejszości, domagając się nie tylko retrospekcji, ale i odpowiedzi na pytania najgłębsze, dotyczące także nas samych.

Zaawansowana dziedzina odtwarzania przeszłości umożliwia przybliżoną rekonstrukcję wyglądu i zachowań nieistniejących już współcześnie istot i stworzeń. Jakie myśli i skojarzenia uwodzą naszą wyobraźnię gdy w muzeum lub na wirtualnej planszy obserwujemy eksponaty, efekt wytężonej pracy paleontologów, archeologów, antropologów oraz przedstawicieli pozostałych

dziedzin? Jaki jest wasz stosunek do wymarłych już form człowieczeństwa? Czy nasuwa się wam wizja prymitywnych jaskiniowców? Małpoludów, półludzi, którym najwyraźniej nadal brakuje przysłowiowej piątej klepki? Wpadacie w śmiech, rozbawienie? Nasuwają się Wam niezdrowe pytania i odpowiedzi? A może wręcz przeciwnie? Spoglądacie z zadumą na tych którzy podobnie jak i wy dzisiaj, stąpali niegdyś po obliczu tej planety, znosząc trudy życia i smakując nie liczne okruchy szczęścia? Udziela Wam się filozoficzna refleksja nad istotą przemijania oraz trwałości ludzi, kultur i cywilizacji? A może jeszcze inaczej... Dosięga nostalgia, smutek i żal za tymi, którzy już odeszli? Sentymentalna żałoba za tym co minęło, i jak należy przypuszczać, nigdy nie powróci.

W naszych rozważaniach, będących przedmiotem tej pracy, pominiemy bariery czasu i przestrzeni. Przeskoczmy granice rzeczywistości, nie tracąc przy tym ani zdrowego rozsądku, ani łączności z naglącymi pytaniami, które dotyczą współczesnych. Zadamy sobie pytanie i te pytanie kieruję również do was. Mamy świadomość, że my, homo sapiens jesteśmy jedynym gatunkiem człowieka, zamieszkującym od tysiący lat planetę Ziemię. Wyobraźmy sobie jednak na moment, że jest inaczej i do czasów nam właściwych dotrwały inne gatunki ludzkie: homo habilis, homo heidelbergensis, erectus, rudolfensis, neandertalczyk czy jakikolwiek inny, dowolnie wybrany. Jaki byłby stosunek ludzkości do pozostałych form człowieczeństwa?

Czy większość z nas uległaby poczuciu wyższości? A może byłaby skłonna uznać je za istoty zupełnie nam równoległe? Jak zostaliby potraktowani ci niezwykli ludzie? Czy na przestrzeni dziejów byliby tępieni, ścigani, mordowani, uznani za wilkołaków, synów zła godnych swojego losu? A może wbrew tej pesymistycznej wizji, wbrew spisanego krwią pamiętnika historii, zaistniałaby ekumena zrozumienia, poznania i wspólnego początku? Wreszcie: czy byliby dla homo sapiens ludźmi takimi samymi jak oni, lecz zamkniętymi w innej formie, w odrębnej linii rodzajowej? Czy może głosem biologów i

naukowców, takich jak Darwin, zaliczono by ich na poczet flory i fauny, prymitywnych kuzynów, archaicznej ciekawostki i zjawiska, którym nie przysługuje nadto zespół szczególnych praw? Kto wie? Może neandertalczyk, jeśli dotrwałby do XX wieku, doczekałby się rehabilitacji. Ale co z owłosionymi habilis i rudolfensis? Co uczyniono by wyznacznikiem człowieczeństwa i nietykalności osobistej? Czy uprzedzenia, stereotypy, wreszcie szowinizm gatunkowy nie sprawiłyby, że wielu spośród nas z obrzydzeniem, dystansem i poczuciem wyższości spoglądałaby na ubogich, jak kazano by nam wierzyć, dalekich krewniaków człowieka. Czy po raz kolejny dalibyśmy się namówić na abstrakcyjną debatę: „człowiek czy zwierzę?”.

Mogę spotkać się z zarzutem, że temat, jak i wszystkie wątpliwości narosłe wokół niego są fantasmagorią, dylematem wyssanym z palca, rojeniem z pogranicza marzeń i fantazji aniżeli realnym pytaniem teraźniejszości. Jeśli jednak tylko wgłębimy się w jego naturę szybko odkryjemy, że za jego fasadą kryje się filozoficzna interpelacja, dotycząca każdego czasu i miejsca. Odpowiedzi na nią powinni udzielić wszyscy, którzy pragną poznać i zrozumieć mechanizmy rządzące ludzką akceptacją i zrozumieniem. Każdy kto chce zgłębić tajemnice tkwiące w ludzkiej dążności do współodczuwania jak i walki. Pytanie te powinni zadać sobie także wszyscy etycy, obrońcy praw człowieka i zwierząt, wszyscy ludzie stanowiący prawa, wreszcie każdy kto pragnie zrozumieć siebie oraz braci żyjących w bliższym oraz dalszym sąsiedztwie. Jako, że nie można nam wykluczyć takiej okoliczności, interpelacja ta powróci gdy kiedyś, nam Ziemiom, przyjdzie spotkać życie pochodne z innego globu aniżeli nasz, istoty pochodne z innych planet bądź wymiarów.

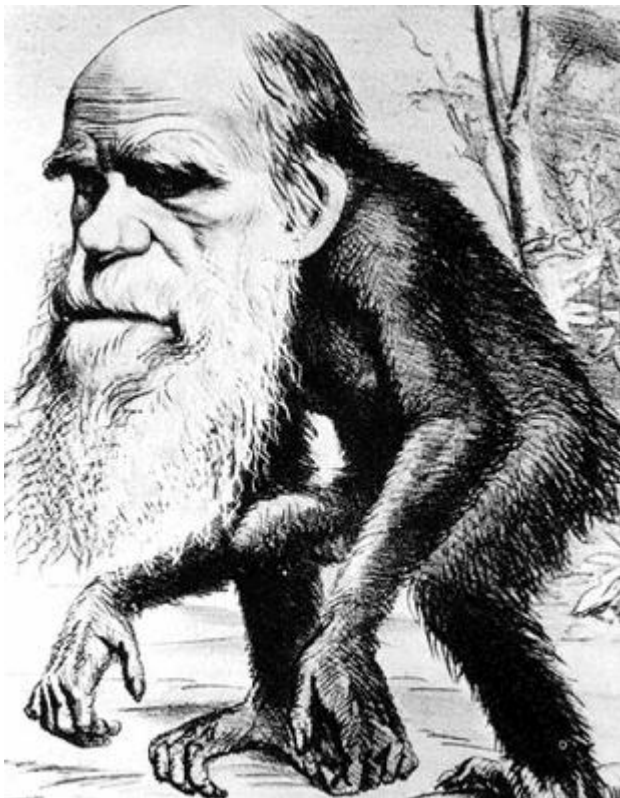
EWOLUCJONIZM KONTRA KREACJONIZM, CZYLI O SPORZE, KTÓREGO NIE MA

Zanim przejdziemy do istoty naszych rozważań zatrzymajmy się na sporze , który od dziesięcioleci rozdziera środowiska naukowe i religijne. Rodowód tego konfliktu jest znacznie

starszy i sięga czasów, kiedy człowiek po raz pierwszy zwątpił w realność istoty wyższej oraz dwoistość naszej natury; czasów gdy człowiek po raz pierwszy odrzucił nie zrozumiały dlań świat metafizyki i skierował swoją uwagę ku bardziej namacalnym prawom fizyki i materii. Pragnienie poznania i samodzielnego odnalezienia odpowiedzi zaowocowały pojawieniem się niszowych wcześniej prądów i światopoglądów, które przenikając nawzajem przez siebie, zaczęły na nowo kształtować wyobraźnię i świadomość człowieka. Ze zwątpienia zrodziła się wielorakość, ale ta wielorakość nie przyniosła ekspiacji prowadzącej do zrozumienia i pokoju. Wręcz przeciwnie. Szybko stała się ofiarą ludzkich słabości i uprzedzeń, które tkwiąc w okopach nie znoszą polemiki ani odmienności, nie tolerują różnicy zdań ani pluralizmu kulturowego. W ślepym triumfalizmie własnego ego, różnorodność zdegradowano do poziomu konfliktu, czyniąc ją pożywką dla wszelkiego rodzaju sporów i waśni. Zapomniano, że różnica, jeśli tylko nie rodzi niesprawiedliwości, również może być cnotą.

Podobnie stało się z debatą o początkach i naturze człowieka oraz mechanizmach rządzących światem. W czasach nowożytnych temat ten powraca ze zwielokrotnioną siłą. W Europie od czasów średniowiecza odpowiedź na te pytanie pozostaje prosta i oczywista. Od kiedy na kontynencie pojawiło się chrześcijaństwo wszelkie dylematy natury kosmogonicznej wyjaśnia Biblia. Wyraźna wolta od tej reguły, na razie w dziełach wyklinanych nie rzadko filozofów, zarysowuje się już w XVIII wieku. O transformizmie mówi Jean Baptiste Lamarck w piśmie „Filozofia Zoologii” w 1809 roku. Przekonanie o ewolucyjnych zmianach naszej rzeczywistości wyrażają wcześniej także Jean Condorcet oraz Heraklit. Prawdziwy wybuch konfliktu, będący dziś jego symbolem i emanacją następuje jednak dopiero wraz z publikacją Charlesa Darwina, znaną pierwotnie pod długim tytułem: „O powstaniu gatunków drogą doboru naturalnego, czyli o utrzymywaniu się doskonalszych ras w walce o byt”. Darwin formułuje pierwszą współczesną teorię ewolucji, która odchodzi od transcendencji i boskiego planu

zapisanego w Starym Testamencie. Według koncepcji przedkładanej przez niego, cała nasza rzeczywistość, w tym człowiek, zwierzęta i rośliny, podlegają bezustannym zmianom stymulowanym przez dobór naturalny i walkę o byt. Proces ten, eliminując pewną pulę zbiorowych cech dziedzicznych, wprowadza stopniowe modyfikacje na przestrzeni następnych pokoleń w zasięgu tego samego gatunku. W dłuższej perspektywie zmiany względem formy wyjściowej są już tak daleko posunięte, że możemy mówić o wyodrębnieniu się nowego gatunku.



Teoria wysunięta przez Darwina moc sprawczą odpowiedzialną za powstanie wszelkich form we wszechświecie, w tym człowieka, upatruje w tak rozumianej transformacji, napędzanej przez rywalizację i walkę o byt. Gdy w 1859 roku Darwin upublicznia swoje tezy, potwierdzone niezależnie przez Alfreda Russela Wallace'a, jego rewelacje wzbudzą powszechne kontrowersje. Hasła ewolucji i niezależnych zmian gatunkowych stoją w opozycji nie tylko względem preferowanej dotychczas koncepcji niezmienności, ale i z światopoglądem ówczesnych, odwołujących się przede wszystkim do biblijnego podania o stworzeniu świata. Wkrótce wywiązuje się spór, którego strony nie szczędzą sobie nawzajem

satyry ani kąśliwych uwag. Za jego symboliczny początek możemy uznać debatę jaka odbyła się 30 czerwca 1860 roku w Oxfordzie. Dochodzi na niej do słownej potyczki między obrońcą i propagatorem idei Darwina, Thomasem Henry Huxleyem a biskupem Samuelem Wilberforcem. Biskup ironizując pytał czy pochodzimy od małpy po mieczu czy po kądzieli. W rewanżu Huxley odpowiedział, że woli mieć za przodka małpę aniżeli nierozumnego biskupa. Wśród zgromadzonego tłumu pojawił się Fitzroy, kapitan statku „Beagle”, na którym Darwin odbył w młodości 5-letnią podróż, która dostarczyła mu materiału dowodowego i stała się inspiracją do dalszych badań i poszukiwań. Teraz Fitzroy stojąc na środku sali wznosił ku górze Biblię, wołając aby wierzyć raczej Bogu aniżeli człowiekowi. Gdy kapitan rzekł, że tezy Darwina napawają go najgłębszym smutkiem, według relacji świadków, miał zostać zakrzyczany przez pozostałych uczestników spotkania.

Tak właśnie wybuchł konflikt, który powraca, raz to z mniejszą, drugi raz większą częstotliwością. Zwolennicy tradycyjnego nurtu odwołują się do tzw. kreacjonizmu zgodnie z którym początek rzeczy był domeną i wolą Istoty Wyższej (w zależności od systemu religijnego: Boga, Stwórcy lub tzw. bohatera kultowego). Zwolennicy ewolucjonizmu, opierając się na syntezie wiedzy pochodnej z różnych nauk, sięgają do idei zmienności gatunków, twierdząc, że początek rzeczy jak i reguły rządzące naszym światem oparte są na odwiecznej grze z genami i molekułami w roli głównej. Po drodze pojawia się kilka koncyliacyjnych koncepcji łączących obydwa nurty.

Żadna siła jednak nie jest w stanie powstrzymać ambicji człowieka dążącego do prymatu własnych dążeń i wartości. Za tą cenę jest gotowy narzucać własną doktrynę, wyśmiewać i opluwać tabu odmienne od założeń, które sam uważa za niepodważalną prawdę. Aby nie było wątpliwości, nie mówimy tu tylko o apodyktycznych misjonarzach, którzy prześladowali Polinezyjczyków, czy o zbiegach wolności głoszących idee niezgodne z obowiązującymi systemami społecznymi. Mówimy także

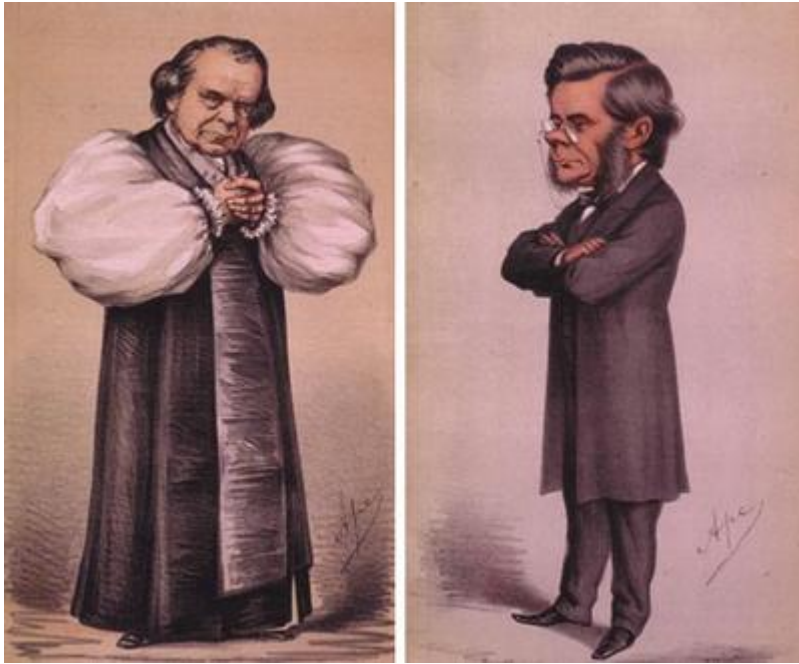
o osobach o najtęższych umysłach, które dezawuuują odmienne idee-koncepcje tylko dlatego, że kłóćą się one z obowiązującymi i uznawanymi regułami nauki. Ci, którzy już dawno ogłosili triumf nauki nad zabobonami, empiryki nad aprioryzmem, powinni pamiętać, że i sama nauka, jako zbiorowa droga poznania ludzkości błądzi i udziela mylnych odpowiedzi. Nie sięga z reguły również znacznie dalej aniżeli aktualne zdolności poznawcze człowieka oraz instrumenty badawcze, którymi dysponuje. Historia nauki to historia dochodzenia do prawdy, utkana licznymi pomyłkami oraz koncepcjami, obalаныmi i przywracаныmi na powrót. W innych przypadkach obalаныmi i wystawianymi na widok publiczny jako studium komicznych nie rzadko założeń i pomyłek. O meandrach, które gnębiły apostołów nauki dobitnie świadczą losy najrozmaitszych dziedzin: na medycynie i astronomii począwszy a na wulkanologii oraz historii skończywszy. Również i koncepcje Darwina znalazły sobie ripostę. Nie wszystkie jego założenia przetrwały próbę czasu, trafiając na stos europocentrycznych harców i pobożnych życzeń.

Wszyscy zatem jesteśmy zdani na łaskę niewiedzy. Każdy człowiek ma prawo pytać i poszukiwać odpowiedzi. Ewolucjonizm i kreacjonizm, jak i szereg odmiennych koncepcji. Wszystkie mają racje bytu w nieograniczonym almanachu ludzkiej percepcji i rozumienia rzeczywistości. W świecie niezależnej idei nie kolidują one ze sobą. Nie są także przeciwstawnymi wektorami, które dążą do dominacji – jeden nad drugim. Ich rola sprowadza się do opisu rzeczywistości zgodnie z etosem i paradygmatem danej grupy, zaś w świecie wolnej myśli również człowieka. Nie możemy więc mówić o dosłownym konflikcie między światem materii, tego co namacalne i mechaniczne a alternatywnym światem ducha i metafizyki. Powołując się na naszą wyobraźnię możemy zilustrować zależność między nimi jako próżnię w której zawieszone są wszelkie myśli, systemy i idee, zarówno te istniejące jak i te, które dopiero nadejdą. Od człowieka obdarzonego wolną wolą i krytyczną oceną świata zależy w których odnajdzie prawdę i obierze za swój własny – słuszny

lub mylny kurs.

I to właśnie człowiek nadaje zabarwienie ideom i wartościom, które powiela lub powołuje do życia. Od niego zależy czy posłużą mu one jako zawiniątko kontemplacji, użyteczności i dociekań czy może przemieni je w ideologię, obosieczny miecz, służący do zwalczania odmiennych koncepcji a nawet mentalnego i fizycznego knebłowania opozycji, czego w historii ludzkości mieliśmy już wspaniałe przykłady. Nie ma więc konfliktu między materią a duchem. Nie ma nieuniknionego starcia między zwolennikami ewolucjonizmu i kreacjonizmu. Wszystko dokonuje się na poziomie intencji. Czy dopuszczasz odmienną w odbiorze świata oraz różnych interpretacji tych samych zjawisk? Czy dążąc do poznania, argumenty i szacunek czynisz pomostem debaty i wymiany myśli?

W świecie wzajemnego zrozumienia odpowiedź byłaby twierdząca. W konfliktogennym łańcuchu osobowości ludzkiej, respons wygląda zgoła odmiennie. I oto widzimy te wszystkie zajadłe spory, pełne osobistych uwag i erystycznych zagrywek, w których depta się i ruga to co nie pasuje do własnej miary. To pojedynek totalny. Aby zdekaptować odmienną i wrogą koncepcję, równocześnie personifikuje się jej zwolenników. Teraz tylko wystarczy wskazać ich przywary i za jednym zamachem, w przezabawnym wywodzie ukazać jako obłądnych epigonów rojących swoje przebrzmiałe idee. Co bardziej niepokojące, także wielu biernych obserwatorów dostraja się do tego szyderczego tonu, pchającego nas wszystkich w niebezpieczne objęcia dychotomii.



Podobne nuty zabrzmiały

30 czerwca 1860 roku na oksfordzkiej sali. Naprzeciwko siebie stają zwolennicy zupełnie odmiennych koncepcji powstania świata oraz sił rządzących jego regułami. Możemy domniemywać, że nikomu nie przechodzi przez myśl owe zbawienne hasło: „a może wszyscy mają na swój sposób racje”. Nie można nam się łudzić, skoro i dzisiaj większość prelegentów nie jest skłonna do godzenia tak odmiennych przeciwności. Wkrótce w XIX wiecznym społeczeństwie angielskim z całą siłą wybucha spór, symbolicznie zapoczątkowany przez Huxleya i Wilberforce’a. Każdy pragnie wykazać istnienie jedynej słusznej prawdy i aby to osiągnąć sięga po najbardziej prymitywne formy komunikacji i dyskredytowania rozmówcy. Wilberforce zostaje „nierozumnym biskupem” zaś Huxley słyszy ironiczne i prześmiewcze uwagi na temat bronionej przez siebie koncepcji ewolucji. Tak właśnie wybucha wciąż nie zażegnany i powracający spór określany wymowną przeciwwagą „ewolucjonizm kontra kreacjonizm”. Sam termin „ewolucjonizm kontra kreacjonizm” jest bardzo mylący, ponieważ żadna z tych koncepcji nie ma w sobie zaszczerpionego przesłania zwalczania i mierzenia z tym co niedopasowane i odmienne. Obie – podobnie jak każda inna alternatywna idea – są córkami osobnych tradycji, doświadczeń i wartości, wyrosłych na innej glebie założeń i fundamentów. Każda ma racje bytu oraz istnienia w odpowiednim czasie, tradycji oraz miejscu.

Skąd więc mit nowożytnego sporu „ewolucjonizm kontra kreacjonizm”? Dlaczego zewsząd słyszymy, że jest on nieunikniony i ma właśnie miejsce? Odpowiedź na te pytanie jest prosta i brzmi dokładnie tak samo jak na inne wyimaginowane konflikty, z którymi – jak słyszymy – należy się zmierzyć, stając po którejś ze stron barykady (jak np. pseudo wojna cywilizacji). To człowiek błądząc po niezrozumiałym dla siebie świecie szuka samookreślenia i identyfikacji. Gubiąc się w labiryncie swojej natury popełnia ten sam lapsus co jego przodkowie. Nieświadomy gdzie jest i dokąd zmierza, szuka wroga, szuka opozycji względem, której wytyczy swoją nową tożsamość lub przeciwnie, utwierdzi się w starej. Gdy wracamy do konfliktu „ewolucja kontra kreacjonizm” nie mówimy o sporze między naukami i światopoglądami. Dajemy się okiełznać staremu nawykowi, niemal tak wiekowemu jak i sama ludzkość. Strony wyznające odmienne koncepcje zamiast pielęgnować i rozwijać własne tradycje przekuwają je w miecze, aby raz jeszcze stanąć naprzeciw siebie i nawzajem udowadniać swoje racje. Prezentacja odmiennych poglądów wiodąca ku wzajemnemu zrozumieniu? Godne uznania. Lecz gdy to pretekst do dominacji, pojedynku, wykazania jedynej słusznej racji, to mamy tu do czynienia z niczym innym jak realizacją własnego ludzkiego ego.

Pamiętajmy. Różnica, jeśli tylko nie rodzi niesprawiedliwości również może być cnotą. Sporów między ewolucjonizmem a kreacjonizmem nie ma.

ARCHETYP ZŁA – WILK I JASKINIOWIEC

Wyobrażenia i lęki Homo Sapiens od dawna powołują do życia stwory i mary, których zdeprawowana natura zaprzecza ogłódzie i rozumowi przypisywanym człowiekowi. Rolę dzikich i bestialskich przywdziewają mityczne stwory: grecki półczłowiek-półbyk, Minotaur, smakujący w ludzkim mięsie oraz odrażający olbrzym Humbaba (Humwawa) znany z podań sumeryjskich i mezopotamskich. Nasz panteon hybryd i fantastycznych istot jest równie bogaty jak mozaika kultur i

społeczeństw stworzonych na przestrzeni dziejów przez rodzaj ludzki. Zdolność Homo Sapiens do kreowania zagrożeń i własnych antonimów nie ogranicza się tylko do tworzenia postaci, których istnienie budzi dziś poważne wątpliwości. Z równą zapalczywością demonizujemy a nawet odczłowieczamy naszych najbliższych ziomków. Lubimy mówić o niepewnym i groźnym otoczeniu, utwierdzać się w cnocie naszej tożsamości oraz indolencji obcych kultur i systemów społecznych. Wystarczy najmniejszy pretekst aby wykopać nowe okopy i fosy, które ideolodzy czasów wojny zdefiniują następnie jako granice cywilizacji, kultury a nawet człowieczeństwa.

Rasa, gatunek, nacja, wygląd, obyczaj, odrębność, niedostosowanie do ogółu, negatywne wrażenie. Gros ludzkości pozostaje niedojrzała emocjonalnie. Impuls niepewności, zręczny indoktrynator lub hipnotyzer słowa i obrazu, wiodący tłumi za nos. Byłe bard może uderzyć w struny i przywołać odwieczną pieśń wojny i konfliktu, w której wolne istoty w jednej strofie refrenu zostaną podzielone na dwa odrębne a nawet wrogie sobie obozy. Taki podział legitymizowano z wątpliwym moralnie sukcesem, zarówno do tworzenia antagonizmów międzyludzkich jak i napiętnowania w świadomości odbiorców wybranych przedstawicieli odrębnych gatunków. To ostatnie było o tyle łatwiejsze, o ile dany gatunek poprzez swój tryb życia stanowił konkurencję, zagrożenie lub przynosił szczególnego rodzaju szkodę. Jako modelowy przykład międzygatunkowej animozji, która w niektórych rejonach naszego globu przybrała ostatecznie wymiar celowego, jednostronnego wyniszczania, przywołajmy relacje między wilkiem a człowiekiem.

Wilk jako wyspecjalizowany drapieżnik, żyjący i polujący w watahach od zawsze stanowił potencjalne zagrożenie dla człowieka. Obaj dysponujący wyspecjalizowaną aparaturą uśmiercania ofiar i zdobywania pożywienia winni sobie byli należny respekt i szacunek. Ludzcy myśliwi i wędrowcy od dziesiątek tysięcy lat podziwiali wilka włączając go do panteonu własnych wierzeń i bohaterów kultowych. Ataki i

incydenty okraszone śmiercią bez wątpienia się zdarzały ale nigdy nie były polityką przewodnią wyznaczającą linię relacji między tymi odrębnymi gatunkami. Wręcz przeciwnie. Niektóre wilki zbliżyły się do człowieka i zamieszkały razem z nim, zapoczątkowując nową linię swoich pobratymców wdzięcznie dziś nazywaną psami.

Los wilków i ludzi związał ich ze sobą nierozzerwalnie. Przekonaliśmy się już dawno, że nie tylko Homo Sapiens zaadoptował wilka na łono swojej społeczności ale i wilk okazał się skory do włączenia człowieka w poczet swoich bliskich i rodziny. Każdy kto wróci pamięcią do legendy o powstaniu Rzymu przywoła zarazem do życia postacie dwójki braci. Remus i Romulus – bo o nich tu mowa – zapisali się nie tylko jako mityczni założyciele „wiecznego miasta” ale i wilcze dzieci. Jeśli wierzyć rzymskim podaniom, oboje zostali wykarmieni przez wilczycę. Wśród wilków wychował się także Mowgli, bohater powieści Rudyarda Kiplinga „Księga dżungli”. Jeżeli pośród czytelników znajduje się twardogłowy sceptyk to właśnie pomachał głową w geście dezaprobaty wobec baśniowego rodowodu przytoczonych przykładów. Wilcza adopcja to jednak nie spuścizna starożytnych wierzeń i wiktoriańskich fantazji a zjawisko jak najbardziej realne.

W 1920 roku w północnych Indiach dostrzeżono dwie dziewczynki czmychające wraz z watahą wilków. Okazało się, że nie było to przypadkowe spotkanie. Nie wiadomo w jaki sposób dzieci trafiły na łono wilczej gromady. Żyły jednak i były wychowywane przez zwierzęta, przejmując szereg charakterystycznych wilczych zachowań. Spały wspólnie zwinięte w kłębek pomrukując przez sen, chodziły na czworaka, jadły surowe mięso. Czuły się wilkami i bez wątpienia były częścią watahy. Młodsza z nich, dwulatkę, ochrzczono później imieniem Amala, starsza zaś – ośmiolatka – została zapamiętana jako Kamala. W opinii odkrywców, obowiązkiem ludzi było przywrócenie dziewczynek na łono ludzkiego społeczeństwa. Obławie przewodniczył misjonarz Reverend Joseph Singh,

prowadzący punkt dla sierot w Midnapore. Singh dotarł do nory w której przebywały dziewczynki. Dostępu do niej broniła zawzięcie wilczyca, która pozostała przy swoich ludzkich dzieciach do samego końca. Wilcza mama została zastrzelona a dziewczynki zabrano do Midnapore, gdzie miały odnaleźć swoje ludzkie korzenie.



Historia Kamali i Amali kończy się smutno. Obie nie żyją już długo. Amala umiera wkrótce na infekcję nerek a jej starsza siostra dołącza do niej kilka lat później, w 1929 roku. Pomimo, iż obie dziewczynki odchodzą przedwcześnie ich – jak wielu powie – tragiczna historia stanowi świadectwo dla człowieka, który posługując się maniacką optyką wyższości sprowadził naturę wielu gatunków zamieszkujących Ziemię do najniższych motywów i instynktów. Tymczasem Kamala i Amala – któż wie – najpewniej porzucone na pastwę losu przez swoich biologicznych rodziców, znalazły opiekę i dozgonne trwanie wśród wilków – gatunku, który już wiele set lat wcześniej drogą werdyktu ludzkiego, osądzono jako groźny i niebezpieczny a nawet niewzruszony morderca ludzi. Reverend Joseph Singh wyznał na piśmie: „Nie mogłem uwierzyć, że zwierzę może być tak wielkoduszne wobec człowieka”.

Neolit przyniósł w historii ludzkości trwałe zmiany, zapoczątkowując proces skupiania dużych osiadłych społeczności

oraz tok zdarzeń, prowadzący ludzkość do punktu w którym znajduje się obecnie. Człowiek na dobre okiełznał sztukę uprawy roślin, zbliżył się do zwierząt i udomowił wiele gatunków. Rozpoczął hodowlę i wypas krów, owiec, kóz i szeregu innych. Dla wielu ludów niedawna przestrzeń bytowania i bezpieczeństwa zawężała się do osady i jej bezpośredniego otoczenia. Z biegiem pokoleń, coraz bardziej odległy i obcy las, stawał się zaułkiem groźnym i nieprzewidywalnym; domem niebezpiecznych zwierząt oraz – jak wieściły stare wierzenia – nieprzyjaznych duchów, mar i upiorów.

Człowiek opuszczając bezpieczną przestrzeń mieszkalną udawał się na wypas na pastwiska położone w granicach lasu i śródleśne łąki. Pasterze i stada wkraczając na przyrodnicze szlaki byli narażeni na ataki drapieżników, które węsząc łatwą zdobycz nie wahały się atakować zwierząt a z rzadka także ich nadzorców. Wśród outsiderów próbujących szczęścia znalazły się niektóre wilki, podchodzące pod ludzkie osady i liczące na okazjonalny łup. Powtarzające się incydenty, przekładające się na wymierne straty dla hodowców, budowały wilkom nieciekawą, zasnutą aurą strachu reputację. Wilk jako gatunek stał się dla wielu ludzi synonimem szkodnika, a gdzieś tam także żądnej krwi bestii. Proporcje ostrożności i prewencji zostały przekroczone. Wieki polowań na wilki doprowadziły w wielu regionach do ich całkowitego wyniszczenia. Nawet dziś, tam gdzie jeszcze występują, słyszymy głosy domagające się ich odstrzału, zupełnie tak jakby nie zdawano sobie sprawy, że to właśnie naruszenie delikatnej struktury stada generuje wzmożone ataki na zwierzęta gospodarskie ze strony młodych, niedoświadczonych lub samotnych osobników, pozbawionych społecznej kontroli watahy.

Struktura społeczna gatunków zamieszkujących Ziemię pozostaje niemniej złożona aniżeli ta, którą szczyci się człowiek. Przywołajmy na świadka słonie, które zabijane dla złudnego luksusu kości słoniowej traciły rodziny a zarazem strukturę stada opartą na przewodnictwie starych samic. Młode osobniki

wyłączone z rygoru stada, wreszcie same stada pozbawione przewodników i tradycyjnej hierarchii. Rozpad więzi rodzinnych i klanowych stymuluje u słońi zachowania i reakcje niespotykane w pełnych, nie nadszarpniętych grupach tego gatunku. Ataki rozwścieczonego słońia na przedstawicieli neutralnych gatunków takich jak nosorożec, albo wzmożone szturm słońi na ludzi a nawet całe wioski odnotowywane w ciągu ostatnich lat – to nie tylko afekt ekspansji człowieka wkraczającego na trasy migracji słońi i spychającego je z tradycyjnych terytoriów. To także pośrednia spuścizna rozbicia więzów rodzinnych słońi, nie rzadko na drodze polowań i zabijania. Nie przypadkiem autorami pełnych furii ataków są młode osobniki o zaburzonej konstrukcji psychicznej, żyjące na peryferiach stada. Analogiczną przypadłość zauważamy u człowieka, a dokładniej w tych jego społecznościach w których więzy osobiste, będące miernikiem bliskości, ulegają zanikowi lub nadwerężeniu. Nie inaczej jest i u wilków. Rozbicie watahy lub niszczenie delikatnej zależności między jej członkami, choćby poprzez nieprzemyślany selektywny odstrzał grozi zaburzeniem relacji oraz wyodrębnianiem się outsiderów, skorych do niekonwencjonalnych, ekspresywnych zachowań na marginesie głównych ram postępowania gatunku.



Wilki na przestrzeni dziejów wzbudzały skrajne emocje. Od fascynacji i roli kultowej po zostającą na usługach zła bestię, złąknioną krwi i odoru śmierci. Interpretacje bliższe tej ostatniej roli oraz ekspansja człowieka, zaprowadziły wilki na skraj przepaści.

Wilk stał się symbolem dzikości i nieokrziesania, przeciwieństwem cech przypisywanych człowiekowi. Do serca wzięli ten podział liczni mieszkańcy średniowiecznej i nowożytnej Europy. Najgorszą permutacją jakiej mógł ulec człowiek, ku przerażeniu ówczesnych, było nabycie zachowań i cech zwierzęcych. I to nie w rozumieniu metaforycznym, jak w łacińskiej sentencji „homo homini lupus” ale dosłownym. Oskarżenia o wilkołactwo były na porządku dziennym, podobnie jak dwa inne, skądinąd pokrewne przewinienia, związane z czarnoksięstwem i wampiryzmem. Tylko w latach 1530-1620 w Europie odbyło się 30 tysięcy procesów na których sądzono domniemyanych wilkołaków, z czego poważna ilość oskarżonych skończyła na stosie.

Nikt nie mógł czuć się bezpieczny wobec wyimaginowanych rojeń pozywających. Szczególnie narażone były osoby odznaczające się ponadprzeciętnym owłosieniem ciała. Hirusytyzm pozostawał dowodem koronnym tych brukowych postępowań sądowych. Nadmierne owłosienie ciała, także w miejscach rzadkich dla porostu włosów, wreszcie deformacje uzębienia. W każdym odstępstwie od reguły kryła się sposobność do uznania nieszczęśnika potomkiem wilczej sodomii lub sygnatariuszem paktu z najciemniejszymi siłami. Wilka kojarzono nader często z talizmanem zła, którego należało się wystrzegać.

Mit krwiożerczego wilka powraca w XVIII wieku we Francji. W latach 1764-1767 tzw. bestia z Gèvaudon w departamencie Lozère dokonuje ponad 160 ataków, które przynoszą od 104 do 113 ofiar śmiertelnych. Ofiarami nieznanego zwierzęcia padają głównie kobiety, dzieci i młodzież. Tragedia społeczności staje się pożywką prymitywnej prasowej satyry i sprowadza wielu śmiałków pragnących ubić winowajcę. Polowanie na bestię szybko zamienia się w odstrzał lokalnych wilków, pospolicie postrzeganych jako bezpośrednich sprawców ataków. Dopiero po jakimś czasie okazuje się, że ową „bestię” nie są wcale wilki a do końca niezidentyfikowane mieszańce (np. dogów i chartów), najpewniej specjalnie w tym celu tresowane.

Cień wilka-oprawcy pobrzmiewa także w bajkach, wierszach oraz ludowej wyobraźni. Do najbardziej znanych obrazów przedstawiających czarny charakter wilka należy choćby popularny „Czerwony Kapturek”. Wilk w tej bajce uosabia najbardziej niepożądane cechy: dzikość, przemoc, kłamstwo, podstęp i niepohamowany apetyt. Stoi zatem w całkowitej opozycji wobec pozostałych, ludzkich bohaterów powiastki, którzy charakteryzują się niewinnością, kulturą osobistą a nawet bohaterstwem jak np. Gajowy, który zabija ludożerczego wilka, uwalniając z opresji babcię i jej uczynną wnuczkę. Wilk w czasach nam współczesnych doczeka się częściowej rehabilitacji, ale stereotypy na temat jego natury tkwią ukryte w mentalności ludzkiej jak zastygła magma w głębi uśpionego wulkanu.

Nie tylko wilk zdobył sobie w oczach obiegowej opinii człowieka opinię brutalnego, podstępnego i naznaczonego złą wolą. W zależności od szerokości geograficznej i układu sił między gatunkami na czarną listę prześladowców ludzkości trafiają lisy, niedźwiedzie, hieny, dziki, psy dingo, tygrysy, pawiany i liczne gatunki małp. Odkrycie jakie dokonano w Dusseldorfie w XIX wieku, dostarczyło samozwańczym animatorom człowieczeństwa nowego materiału porównawczego na szkielet, którego z powodzeniem szkicowano kontury sukcesu człowieka współczesnego. W 1856 roku dwóch włoskich robotników podczas pracy w kamieniołomie w dolinie Neander (Neandra) natrafiło na stare kości. Szczątki uznano początkowo za szkielet niedźwiedzia ale dalsze badania wykazały ludzki rodowód znaleziska. Co bardziej kontrowersyjne dla ówczesnych, nie były to szczątki Homo Sapiens a istoty ludzkiej, nieznanego dotąd gatunku. Odkrycie zaburzyło priorytetowy obraz rzeczywistości z godnie z którym na Ziemi występował tylko jeden rodzaj ludzki.



Pod koniec XIX wieku jeszcze wiele zaślepionych umysłów kultywowało podziały rasowe, odcinając się od powinowactwa z mieszkańcami Afryki czy tak zwanymi wówczas ludami prymitywnymi. Kości odkryte w Niemczech były jednak na tyle odmienne, że najpierw podważano teorie nowego gatunku ludzkiego – a gdy nie dało się dłużej negować jego istnienia – degradowano do roli regresywnego małpoluda. Na początku XX wieku czołowy francuski antropolog, Marcelin Boule, opisywał człowieka z Neander jako istotę kierowaną pospolitymi instynktami: „Jego funkcje wegetatywne i zwierzęce dominują nad funkcjami mózgowymi”. Pierwsze szkice obrazujące Neandertalczyka nie tylko odzwierciedlają ten opis ale nie rzadko idą jeszcze dalej. Wracając pamięcią do pierwszych, fantazyjnych dziś ilustracji, Neandertalczyk ukaże nam się jako zarośnięty antropoid o obłądnym spojrzeniu, dla wrażenia wyposażony w kij lub masywną maczugę. Na przestrzeni kolejnych dekad zdeformowany obraz Neandertalczyka zostanie sprostowany, zwłaszcza w kręgach badaczy i popularyzatorów nauki, ale archetyp prymitywnego człowieka z archaiku nadal funkcjonuje w zbiorowej wyobraźni człowieka przełomu XX-XXI wieku.

W potocznej mowie za określeniem „neandertalczyk” kryje się synonim głupoty, gburostwa, nieokrziesania i upadku obyczajów. Neandertalczyk stał się również prototypem dla filmowych i książkowych kreacji dawnych ludzi, jeszcze do niedawna obowiązkowo sprowadzanych do pojęcia jaskiniowców. W popularnych kreskówkach w głębi ponurej jaskini nie czyha już

jak niegdyś niedźwiedź, duch czy chmara nietoperzy. Coraz częściej bohaterowie obrazu spotykają tam gruboskórnego jaskiniowca o niepospolitym spojrzeniu. Jegomość wyposażony najlepiej w maczugę i powodowany najniższymi instynktami w furiastycznej orgii dąży do zagłady zabłąkanych śmiałków.

Jaskiniowiec, Neandertalczyk, małpolud, dzikus sprzed setek tysięcy czy miliona lat. Wszystko jedno. Wokół wyobrażeń nieistniejących już dziś gatunków ludzi nadal unosi się omam prymitywizmu, który tworzy przyzwolenie na degradowanie ich do poziomu troglodytów. Mityczny jaskiniowiec, podobnie jak wcześniej nieokrzesany wilk, stał się co dla niektórych przeciwwagą kultury, subtelności, ogłady i inteligencji człowieka współczesnego. Ku pokrzepieniu serc dodajmy, że opinie te nie wynikają z osobistych doświadczeń a są rezultatem wrażeń i sugestii narosłych wokół rekonstrukcji oraz nie rzadko fikcyjnych obrazów. Mówimy więc tu wciąż o stereotypie kogoś z kim nie przyszło spotkać się nie tylko nam samym ale i setkom wyprzedzających nas pokoleń. Czy mimo wszystko wolno nam się łądzić, że gdyby do czasów współczesnych dotrwały inne, alternatywne gatunki ludzkie to zostałyby przywitane z godnością jako równoprawni mieszkańcy Ziemi?

Autor: Damian Żuchowski

Nadesłano do „Wolnych Mediów”